

STANISŁAW GRYGIEL
Uniwersytet Laterański
Rzym

MIŁUJ I PISZ, CO CHCESZ!¹

Być dziennikarzem wydaje się łatwe tylko temu dziennikarzowi, który nigdy nie zdecydował się być nim naprawdę. Łatwo jest produkować słowa pozbawione śladów prowadzących do prawdy i do dobra. W świecie postmodernistycznym, kształtowanym nie tyle przez kryzys instytucjonalnych struktur czy przez zachowanie się ludzi, ile raczej przez wynikającą z różnych spekulacji pewność, że słowo prawda nie odpowiada żadna rzeczywistość, społeczeństwem kierują obrazy funkcjonujące tak, jakby to one były tym, czego ludzie pragną i szukają. W świecie, w którym myśl ludzka nie opiera się na niczym poza sobą samą, wytwarzane przez nią pojęcia i idee nie mają mocy. Koherencja systemu, w jakim one funkcjonują, zajmuje miejsce należne oczywistości prawdy i dobra niezależnych od rozumu i woli człowieka.

Tworzeniu obrazów towarzyszy socjologizowanie życia intelektualnego, a nawet i duchowego. Socjologizujące funkcjonowanie obrazów pomniejsza w człowieku zdolność myślenia oraz chcenia tak, że „na tej ziemi” przestaje on istnieć „poetycko” (Hölderlin), tzn. twórczo i wspaniałomyślnie. Poddając się panującym tendencjom i modom, traci zdolność do poetyckiego myślenia o rzeczach dalekich i do równie poetyckiego pragnienia ich we wszystkim, do czego zmierza jego wola. Zawierza się natomiast rzeczom leżącym w zasięgu jego oczu i rąk. Zasięgiem swoich oczu i swoich rąk mierzy swoją pracę, co sprawia, że rentowność staje się dla niego kryterium prawdy i dobra. W końcu nie obchodzi go, jak rzeczy mają się naprawdę, lecz – jak skalkulować lukratywnie ich energetyczne możliwości.

¹ Jest to tekst wykładu wygłoszonego 4 czerwca 2000 r. w ramach sesji naukowej nt. *Mass media i ewangelizacja*, podczas łódzkich ogólnopolskich obchodów Roku Jubileuszowego 2000.

W zasadzie praca dziennikarza nie różni się od pracy, np. szewca. Szewc powinien robić takie buty, które uwydatniałyby prawdę nogi i pomagałyby jej być sobą w chodzeniu. Dziennikarz powinien pisać takie artykuły, które ukazywałyby prawdę bycia człowieka oraz społeczeństwa i przyczyniały się do usuwania niezgodności ich działań z tą prawdą. Zły but uwiera i deformuje stopę, niszczy piękno nogi i jej poruszania się. Zły artykuł uwiera i zniekształca osobę oraz społeczeństwo, niszczy piękno ich bycia oraz piękno ich pracy.

Dziennikarz informuje społeczeństwo o wydarzeniach w świetle tego, wokół czego buduje on swoje domostwo (etos). Ład domostwa jest z rzeczywistości, do której zamieszkujący je człowiek zmierza „całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą” (Mk 12, 30). Inaczej mówiąc, jak każdy człowiek, dziennikarz ocenia wszystko, co dzieje się i czego jest uczestniczącym świadkiem, według tego, czy i jak ogarnia siebie oraz innych pytaniem: „Skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy?” Jeżeli w jego widzeniu społeczeństwa nie ma tego pytania, jego artykuły będą odzwierciedlały jedynie taką lub inną politykę. Będą natomiast dalekie od prawdy, do której ukierunkowany jest człowiek i społeczeństwo.

Pytanie „skąd przychodzimy i dokąd idziemy?”, mierząc w sens życia oraz w jego prawdę, uwalnia dziennikarza od przemijających sytuacji oraz od związanych z nimi emocji. Myśl oderwana od fundamentalnych pytań nie dysponuje wystarczającą siłą, żeby móc sprostować temu, co dzieje się w człowieku i w świecie. Tylko ludzie wolni, tzn. ludzie, którzy żyjąc „tu”, przebywają „tam”, skąd przychodzą i dokąd idą, dostrzegają prawdę przeświecającą w wydarzeniach, bo właśnie „stamtąd” ona pochodzi. Do prawdy i do wolności pochodzących „stamtąd” skierowują się serce i umysł, dusza i moc człowieka.

Wolność jest trudna, bo prawda domaga się od człowieka pracowitego zawieszenia jej siebie. Kto zawierza się prawdzie, ryzykuje, że utraci nawet życie. Właśnie dlatego nie jest łatwo być dziennikarzem. Tylko człowiek wolny od strachu przed utratą wszystkiego łącznie z życiem będzie sprawiedliwie opowiadał o tym, co wydarza się „tu i teraz”, bo tylko on widzi dzisiejsze wydarzenia w świetle innej, jutrzejszej rzeczywistości. Dziennikarz zniewolony przez strach przed utratą tej lub innej rzeczy odrywa człowieka oraz społeczeństwo od tego, co w nich i do nich nadchodzi, niepomny, że każde „dziś” oderwane od „jutra” rozwiewa się w nicłość.

Prawda nie jest przedmiotem, który można by chwycić do rąk. Przekracza ona chwile i geografię, mimo że mieni się ich kolorami. Nie zamyka człowieka w ograniczonej, bo wymiennie zdefiniowanej, przestrzeni. Głos prawdy słyszy on we własnym wnętrzu zawsze i wszędzie². Prawda go wzywa, a on idzie za nią, owszem, goni ją do końca swoich dni w nadziei, że kiedyś, właśnie „tam”, odsłoni mu się ona w całej swojej piękności. Tymczasem „tutaj”, wędrując jej tropami,

² Por. S. Grygiel, *Prawda jest zawsze przed nami*, „Znaki Czasu” 1993, nr 31–32, s. 3–13.

ogląda i pozdrawia ją z daleka, tak jak Mojżesz oglądał i pozdrawiał z daleka Ziemię Obiecaną nawet w chwili śmierci (por. Hbr 11, 13). Dziennikarz, który porzuca dialog Obietnicy przychodzącej „stamtąd” i nadziei budzonej „tutaj” przez tę Obietnicę, będzie dziennikarzem bez-nadziejnym, wędrującym donikąd.

Prawda, wolność i wędrowanie do nich stanowi o tożsamości osoby ludzkiej. Tożsamość osobowa przychodzi do człowieka z wysoka. Jest jak ogień, którym człowiek płonie, niczym krzew na górze Horeb. Ten, kto zbliża się do niego, powinien zdjąć buty z nóg (por. Wj 3, 2–5). Ogień prawdy i wolności broni płonącego nim człowieka i ziemi, na której buduje on swoje domostwo. Broni ich, oświetlając sumienie tych, którzy chcieliby wejść w butach do ich wnętrza.

Przed prawdą trzeba uklęknąć, jak klęka się przed źródłem, aby napić się z niego wody niezbędnej do życia. Dziennikarz, który nie klęka przed prawdą, klęka przed takim lub innym systemem myśli i władzy. Zgoda na funkcjonowanie nie-prawdy tak, jakby była prawdą, przekreśla życie duchowe dziennikarza, a więc i jego podmiotowość. Skazuje go na życie z łaski tych, którzy dzierżą w rękach systemy myśli i władzy.

Podmiotowość człowieka nie utożsamia się z jakimś przedmiotem nabytym i posiadanym dopóty, dopóki go człowiek nie „odsprzeda” za wyższą lub niższą cenę. Podmiotowość ciągle rodzi się w jego wędrowaniu do obiecanej mu prawdy. Podmiotowość się dzieje, ona się wydarza w człowieku. Jest więc czymś tak kruchym, jak krucha jest wiara, nadzieja i miłość. To w nich się objawia i spełnia wolność osoby ludzkiej. One zaś są darem. Darem więc jest i podmiotowość człowieka. Być więc podmiotem, znaczy umieć przyjmować dar. Wystarczy, że człowiek zatrzyma się na drodze, że przestanie przyjmować to, co mu jest dawane, a już gasną w nim trzy epifanie wolności, jakimi są wiara, nadzieja i miłość. On sam zaś staje się podobny do przedmiotów leżących na drodze. W zatrzymanym człowieku zamazuje się „obraz i podobieństwo” (por. Rdz 1, 27) Tego, który jest Ruchem Miłości i Prawdy.

Do prawdy człowiek przynależy. Dlatego winien się do niej nawracać. Jeśli nią nie mierzy swoich czynów, przeczy sobie samemu. Zamiast pisać swoim życiem historię walki o obiecaną mu ziemię prawdy i wolności bazgrze nim nic nie znaczące opowieści, których pustka uwierzytelnia każde kłamstwo i każdą zdradę.

Szukanie prawdy domaga się od człowieka czegoś więcej niż tylko opanowania techniki dobierania słów i konstruowania zdań. Każde słowo człowiek winien opłacić całym sobą. Juvenalis, w *Satyrach*, wyrazi to lakonicznym słowem: *vitam impendere vero*, za prawdę człowiek płaci życiem.

Drogę do prawdy otwiera człowiekowi heroizm myślenia oraz heroizm istnienia, czyli oddanie się jej całym sercem, całą duszą, całym umysłem i całą mocą. Ludzie cierpiący na impotencję umysłu i serca mogą myśleć i istnieć co najwyżej prometejsko lub faustowsko. Ale wbrew pozorom ani Prometeusz, ani Faust nie myślą i nie istnieją heroicznie. Oni jedynie buntują się, jak przystało na niewolników. Kiedy sentymentalne wzruszenia Prometeusza lub prozaiczne inte-

resy Fausta zapanują nad kimś posiadającym do dyspozycji środki masowego przekazu, trzeba krzyczeć z Rzymianami: *Hannibal ad portas!*

Przypomnę tu przestrogę C. K. Norwida, której nie wolno zapomnieć:

Nie trzeba kłaniać się Okolicznościom,
A Prawdom kazać, by za drzwiami stały.
[...]
Nie trzeba s t y l u nastrajać ulicznie
Ni Ewangelii brać przez rękawiczkę;
Być zacnym ckiwo, być podłym praktycznie!³

* * *

Sens i prawda bycia człowieka człowiekiem znajduje się przed nami, jak horyzont, do którego odnosimy swoje myśli i czyny. Moc horyzontu sensu i prawdy, który obejmuje nas, a więc i osądza, może sądzić wszystko i wszystkich. Na horyzoncie bowiem wszyscy się poczynamy i do niego na koniec wszyscy powracamy.

Dziennikarz nie opisze sprawiedliwie wydarzeń, jeśli nie patrzy na nie w świetle ich sensu. Pytać zaś o ich sens potrafi tylko wtedy, kiedy wpierw zapyta o sens tego wydarzenia, jakim jest on sam: „Skąd przychodzę i dokąd idę?” Artykuły zarówno lamentujące nad dziurami w płocie, jak i ukazujące jego solidność, odsłaniają, kim są ich autorzy, tzn. skąd oni przychodzą i dokąd idą. Każdy bowiem pojmuję rzeczy według tego, jak żyje, do czego zmierza. Każdy zaś żyje według tego, do kogo, ewentualnie do czego przynależy „całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą”.

Sens nie jest jednorodny z tym, czego jest sensem. Sensem pieniędzy nie są pieniądze, sensem polityki nie jest polityka, sensem dziennika nie jest dziennik. Inaczej zatem myśli się o pieniądzach, kiedy ma się na uwadze to, co można za nie osiągnąć, a inaczej kiedy człowiek pozwala im zatrzymać siebie, jakby to one były ziemią obiecaną.

Jeżeli tak, to myśleć sprawiedliwie o życiu może tylko ten, kto wie, że ono samo nie wyczerpuje prawdy o sobie. To o wiele za mało myśleć o życiu kategoriami samego życia. Polityk nie jest politykiem, jeśli politykę pojmuje li tylko w politycznych kategoriach. Dziennikarz, któremu gazeta i artykuły stały się horyzontem, może uważać się za dziennikarza, ale nim nie jest. Nawet etyka, która jest tylko etyką, jest nią tylko z nazwy.

Ludzie, którzy nie pytają o prawdę i o sens życia, nie są sobą; zamiast społeczeństwa tworzą tłum. Tłum jest dlatego tłumem, że stanowiący go ludzie nie mają dokąd iść. Nie mają zaś dokąd iść, ponieważ *inność* uważają za chorobę.

Człowieka, który nie ma dokąd iść, opanowuje beznadzieja i chaos. Nie płonie w nim święty ogień tożsamości odziedziczonej „stamtąd”. Jego widzialne

³ C. K. Norwid, *Początek broszury politycznej...*, w: *Pisma wszystkie*, t. 2, Warszawa 1971, s. 99.

krzątanie się wokół jednodniowych interesów nie płonie żarem rzeczy *innych*, niewidzialnych, których jest pragnieniem. W banale i w nudzie rozprasza się, marnotrawiąc dar wiary, nadziei i miłości, które mówi mu właśnie, dokąd powinien by iść. Jego miłość oderwana od poznania i pracy przekształca się w technikę robienia sentymentalnych gestów, jego poznanie oderwane od miłości i pracy w technikę konstruowania przedmiotów, a jego praca oderwana od miłości i poznania staje się zwykłą produkcją kierowaną popytem, podażą i skutecznością. Każdą technikę ocenia się według jej sukcesów.

W chaosie obliczania szans sukcesu wspólna walka o zwycięstwo prawdy i wolności ustępuje miejsca bijatykom o lepsze kęsy. Biją się o nie jednostki, partie i różne grupy. Dziennikarz, który poddaje się logice bijatyk, odda się przemysłowi informacji. Z wydarzeń będzie robić przedmioty na zamówienie. Jak Piłat będzie kłaniać się „okolicznościom”, żeby go nie zmiotły ze sceny. Sukces natomiast pozbawi go trzeźwości, a jego lenistwo nadmie pychą.

Jeszcze raz zacytuję Norwida:

W każdym kraju inaczej Prawda się udziela,
Lubo wszędzie jednego ma nieprzyjaciela,
A tym jest kłamstwo, tudzież lenistwo i pycha,
I nerwów – wstręt, co, aby mieć pokój, ucicha,
Ma o dbając (choć prawie to wiedzy – zarodkiem),
że bywa słowo pierwej celem niżli środkiem⁴.

Ludzie leniwi i pyszni nienawidzą słów przynależnych do prawdy, ponieważ emanujące z nich jej światło odsłania nędzę ich lenistwa i pychy. Słowom, które prowadzą do prawdy, winno się służyć. Służyć zaś umieją tylko wielcy. Ludzie mali uważają służbę za poniżenie. Nie wiedzą, że człowiek daje siebie innym w tej mierze, w jakiej jest królem.

Dziennikarz, służąc słowami prawdzie, wychodzi z nich wąskim „prześwitem”, w jakim ona się objawia. To, co prześwieca w słowach, jest Słowem nie sprowadzającym się do słów. Słowo przeświecające w „okolicznościach” nie sprowadza się do „okoliczności”. Jego światło znaczy drogę do sensu wydarzeń oraz do ich spełnienia. Wędrując tą drogą, dziennikarz coraz lepiej pojmuje same wydarzenia i równocześnie coraz bardziej staje się sobą, a coraz mniej wypadkową „okoliczności”. Sama jego obecność pozwala innym orientować się w sytuacji, w jakiej się znajduje. Dziennikarz wolny od „okoliczności” mówi i pisze odpowiedzialnie, bo jest obecny w każdym słowie przynoszonym w darze społeczeństwu.

Z artykułem czy z audycją radiową lub telewizyjną jest jak z kwiatem ofiarowanym kobiecie przez mężczyznę; kwiat, w którym mężczyzna nie jest obecny, to zwykły potrząsk zastawiony na kobietę. Taki kwiat jest nie do przyjęcia. Można go, co najwyżej kupić i sprzedać.

⁴ C. K. Norwid, *Czas i prawda*, w: *Pisma wszystkie*, t. 2, s. 102.

Dużo jest prasowych i telewizyjnych potrzasków, ale dużo jest także pięknych darów złożonych społeczeństwu w słowie, w fotografii, w audycji radiowej czy telewizyjnej. Jakość kwiatu, jakość prasy, radia i telewizji świadczy o jakości poznania i miłości łączących ludzi z sobą. Prawdy i dobra szuka się co najmniej we dwóch. One mają charakter osobowy; objawiają się tym, którzy całym jestestwem mówią do siebie nawzajem: „Ja jestem tobą, a ty jesteś mną!” Kiedy jeden zatrzymuje się w „okolicznościach”, wtedy drugi gapi się na nie i tępieje. Obydwaj trzymają prawdę „za drzwiami”, bo nie widzą jeden drugiego. W prawdzie istnieje tylko ten, kto umie *sentire cum altero*, czyli kto umie „czuć z drugą osobą”. Ten, kto od niej odchodzi, istnieje w nie-prawdzie.

* * *

O sensie życia obejmującym je od poczęcia aż do śmierci można myśleć tylko w wierze oraz w nadziei. Sens życia nie utożsamia się z samym życiem; on je obejmuje łącznie z poczęciem i ze śmiercią. Dlatego ten, kto nie umie uwalniać się od samego życia, nie uchwyci ani jego Początku, ani jego Końca. Z konieczności będzie konstruował przeróżne opinie na ich temat, zniewalając nimi siebie oraz innych. Ten, kto usiłuje opiniami wymierzać sprawiedliwość wydarzeniu, jakim jest człowiek, przypomina ową legendarną postać, która próbowała nabrać wody do przetaka.

Opinie zależą od „systemów myśli i władzy”, a zatem i od naszej słabości. Systemy te oraz słabość człowieka wyznaczają punkty wyjścia oraz punkty dojścia jego poznaniu, jego miłości oraz jego pracy. To właśnie sprawia, że dziennikarstwo staje się przemysłem informacji na usługach aktualnie „obowiązujących” systemów myśli i władzy.

Dobry dziennikarz nie produkuje wydarzeń, ponieważ dobry dziennikarz nie szuka sensacji. Dobry dziennikarz szuka tego, do czego jako człowiek jest ukierunkowany i czego pragną jego rozum i wola; szuka prawdy i dobra, większych od niego i tym samym niezależnych od jego opinii i decyzji. Dobry dziennikarz wie, że człowiek podejmuje decyzje w zgodzie albo w niezgodzie ze samym sobą, tzn. w zgodzie albo w niezgodzie ze swoim byciem pragnieniem prawdy. Dlatego wydarzenia, jakim decyzje człowieka dają początek, są miejscem trudnego, czasem wręcz dramatycznego spotkania się z prawdą i dobrem. W jego bowiem aktach miłości i poznania tkwi jak drzazga w dłoni coś z nie-miłości, coś z nie-poznania i coś ze słabości oraz lenistwa, coś co zaciera w jego osobie pamięć o prawdzie i o dobru. Sprawiedliwość należąca osobie ludzkiej domaga się, żeby ten, kto mówi czy pisze o niej, dał wyraz tej dramatycznej dwuznaczności jej istnienia. Dramatyczna dwuznaczność osobowego istnienia człowieka odsłania jego zmaganie się ze samym sobą w perspektywie prawdy i dobra stojących przed nim jako zadanie. Perspektywę tę otwiera miłość do człowieka skołatanego „okolicznościami”, zamyka ją natomiast lubowanie się w samych „okolicznościach”. Po-

znaje się tylko to, co się kocha. Ci, którzy lubują się w „okolicznościach”, gadają i piszą o nich nie z miłości do człowieka, lecz dla przyjemności albo dla wymierzonych, „okolicznościowych” korzyści.

Zły to człowiek, który lubuje się w upadkach człowieka. Tylko psychicznie chorzy albo złodzieje przenoszą dziury w płocie nad sam płot. Prawda płotu, wiążąca go z prawdą zagrody oraz z prawdą gospodarza, stanowi kamień obrazy dla dziennikarzy uległych systemom myślenia i władzy. Ich sprawozdania ze zbrodni grzeszą niesprawiedliwością, ponieważ w ich słowach nie drga miłość ani do zbrodniarza, ani do jego ofiary. Prawda zarówno zbrodniarza, jak i jego ofiary nie sprowadza się do popełnionego czynu i do poniesionej szkody. Dziennikarz, który sobie tego nie uświadamia, odruchami zemsty albo pobłażliwości będzie zanieczyszczał w sobie oraz w innych pragnienie i poczucie sprawiedliwości.

Wydaje się, że chęć zemsty wynika bardziej z nie-woli przyjęcia do wiadomości, aniżeli z nie-wiedzy, że w każdym akcie chcenia czegokolwiek człowiek chce czegoś więcej, czegoś tak wielkiego, że zupełnie innego od wszystkich chcianych przez niego przedmiotów. To, do czego bezpośrednio zmierza wola człowieka, jest tylko śladem tego, czego on jest pragnieniem. Kto prosi o szklankę wody, bo dokucza mu pragnienie, ale w gruncie rzeczy prosi on o inną wodę. On prosi o taką wodę, która zaspokoiłaby go w pełni i na zawsze. Gdyby było inaczej, każdy z nas już dawno przestał by pragnąć, bo przecież coś kiedyś osiągnął. Tak jednak nie jest.

O „wodzie żywej”, której człowiek jest pragnieniem odsłaniającym się we wszystkich aktach jego woli i umysłu, mówi Chrystus w przepięknym dialogu z Samarytanką (por. J 4, 7–15). Łatwo było potępić tę kobietę. Chrystus jednak postąpił inaczej, co nie znaczy że postąpił z pobłażliwością. Wiedział, co było w tej kobiecie, tak że nie musiał o to pytać nikogo (por. J 2, 25). Chrystus zna prawdę człowieka po prostu dlatego, że On nią jest.

Pobłażliwość wynika z podejrzania, że o wszystkim, co człowiek robi i co się w nim dzieje, decydują jakieś tkwiące w nim tajemne moce, nad którymi on nie panuje i o których może tworzyć jedynie opinie. Chęć zemsty natomiast pojawia się wtedy, kiedy w czynie drugiego widzi się tylko jego złą stronę, a nie dostrzega się kryjącego się w nim pragnienia inności „żywej wody” spełniającej człowieka.

Zemsta i pobłażliwość pełni się w nas w tej mierze, w jakiej nie pracujemy nad darem miłości do prawdy osoby ludzkiej, tej prawdy, która w nikim z nas jeszcze się nie wy-darzyła w pełni. Zemsta i pobłażliwość, między którymi granica jest nie strzeżona, poniżają zarówno tego, kto się na nie zdobywa, jak i tego, kto jest ich przedmiotem, ponieważ zaprzeczają naszemu przeznaczeniu do wolności. Mścić się na człowieku znaczy mieć go za diabła, a pobłażać mu znaczy traktować go tak, jak traktuje się martwe przedmioty.

Praca dziennikarza chrześcijanina na pozór nie różni się od pracy dziennikarza niechrześcijanina. Obydwaj informują o tym, co dzieje się w społeczeństwie, w którym ludzie mają miłować dobro, poznawać prawdę i pracować dla wspólnego domostwa. Obydwaj powinni znać fakty i dowiadywać się, gdzie ludzie umieścili „środek” swojego życia, czyli dokąd oni zmierzają „całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą”, a dokąd tymczasem powinni tak zmierzać.

Dziennikarz-chrześcijanin różni się od dziennikarza niechrześcijanina tylko tym, że wierzy, i „środek” historii wydarzania się człowieka na tym świecie znajduje się w Osobie Chrystusa.

Jezus jest rzeczywistością historyczną. Większość współczesnych Mu ludzi widziała Go według jakości własnego życia. Opierając się na doświadczeniu miłości sprowadzonej do „ciała i krwi”, ludzie tworzyli sobie rozmaite hipotezy na temat osoby Jezusa. Na Jego pytanie: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?”, apostołowie wymienili kilka krążących o Nim opinii. Jedni uważali Go za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza lub Jeremiasza bądź za jeszcze innego proroka. „A wy za kogo Mnie uważacie?” Wtedy Piotr wyznał nie opinię, bo opinii się nie wyznaje, lecz wiarę wszystkich uczniów Jezusa, otrzymaną od Jego Ojca: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego!” (Mt 16, 13–16).

Dziennikarz-chrześcijanin, wierząc w Tego, w którego uwierzył Piotr i apostołowie, czyta „znaki czasów” obecne w wydarzeniach i „całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą” wychyla się z siebie ku rzeczywistości przybliżającej się do niego w Chrystusie. To prawda, że w świecie, w którym ludzie wychylają się bardziej ku rzeczom pozostającym w zasięgu ich posesywnych rąk, aniżeli ku rzeczom domagającym się wspaniałomyślności, dziennikarz chrześcijanin naraża się na utratę miejsca pracy, owszem, czasem na utratę nawet życia. Nie wolno jednak zapominać, że Ten, który dzięki swojej boskości był pełnym człowiekiem, przebył właśnie tę drogę, a nie jest uczeń nad mistrza. Tylko z takich ludzi, tylko z takich dziennikarzy emanuje niewidzialne światło pozwalające dostrzec prawdę rzeczy widzialnych i wymierzyć jej sprawiedliwość. Chyba tutaj leży istota tego, co Jan Paweł II nazywa nową ewangelizacją. Sodomę i Gomorę mogło ocalić dziesięciu sprawiedliwych! O ile ciemniej byłoby dzisiaj w Europie, gdyby Sokrates wymigał się od śmierci!

Odpowiedzialność dziennikarza-chrześcijanina wyrasta z jego odpowiedzi na wezwanie, z jakim Wcielone Słowo zwraca się do niego: *Sequere me!* – Pójdź za Mną! Nie chodzi o nachalne, słowne deklaracje. Te zazwyczaj służą do przykrywania wstydlivych części postępowania. Obrzydliwość bierze, kiedy ktoś robi z Boga listek figowy.

Powstaje pytanie, jak opowiada o Kościele, o jego życiu? Nie opowie się sprawiedliwie o pracy szewca, jeśli nie wejdzie się w jego szewstwo, co wcale nie znaczy samemu stać się szewcem. Chociaż trudność z wchodzeniem w pracę szewca jest nieporównywalnie mniejsza od trudności z wchodzeniem w życie Kościoła, to jednak dziennikarz, który nie stara się w nie wejść, będzie zawsze mijał się z tematem. Daleki od *sentire cum Ecclesia*, nie uchwyci zmagania się wierzących ze swoją słabością, która odbiera im głos, kiedy mają odpowiedzieć na wezwanie do „opuszczenia” tego, co się posiada, i wędrować do prawdy i do dobra, którymi można tylko być. Na pracę wierzących chrześcijan, tak samo jak na pracę szewca, będzie patrzył tak, jakby to była polityczna ekonomia podlegająca dialektyce sukcesów i niepowodzeń zależnych od sprytu jednostek i od „okoliczności”.

Inaczej mówiąc, tylko ten dziennikarz nie bierze ludzi na plewy słów, który całym sobą mówi z Petrarką: *Scribendi vivendique mihi unus finis erit* – Moje pisanie i moje życie będą miały jeden cel. Jedność pracy i życia człowiek osiąga, idąc całym sobą za drugą osobą, oddając jej siebie. Wyrasta ona z uświadomienia sobie, że miłości, jaką jest inny człowiek, należy się tylko miłość. Miłość należna miłości spełnia się w umieraniu dla siebie. Ale jeszcze bardziej spełnia się w zmartwychwstawaniu miłującego w umiłowanym. Zmartwychwstanie widnieje tylko przed tymi, którzy umieją umierać dla siebie, aby inni mogli żyć; zmartwychwstaje się w innych. Właśnie to znaczy mieć dokąd iść i nie żyć w nędzy. W tłumie, gdzie nie ma dokąd iść, ludzie nie zmartwychwstają. Dlatego dziennikarz, tak zresztą jak każdy człowiek, winien zadawać sobie pytanie, czy jego słowo służy zachciankom tłumu, czy też życiu osób, które jest dopiero na zaraniu.

Słyszysz się czasem opinię, że wiara w prawdę pochodzącą od Boga sama z siebie przeobraża się w zasadę nietolerancji. Byłoby tak, gdyby prawda ta utożsamiała się z systemem myśli. Wtedy bowiem utożsamiałaby się także z systemem władzy. Tak jednak nie jest. Doktryną Kościoła nie jest system myśli, lecz Osoba Chrystusa oraz osoba człowieka. A osobie na imię jest miłość. Miłość nie utożsamia się ani z systemem, ani z władzą.

Dwa są przykazania, na których opiera się „całe Prawo i Prorocy”, mówi Chrystus. Pierwsze: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem”, a drugie: „Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego” (Mt 22, 37–40).

Miłość, w której objawia się i spełnia się wolność zadana człowiekowi do pracy, miłość, która wierzy w rzeczy najdalsze i spodziewa się ich, nie tłumaczy się materią „ciała i krwi”. Materia nie miłuje. Miłość wydarza się. Jak każdy dar, zaskakuje ona człowieka i wyprowadza go z niego samego. Każe mu spojrzeć na siebie niejako z zewnątrz, z tak daleka, jak z daleka jest ona sama. Dopiero „stamtąd” człowiek widzi, że jest kimś chcianym, a więc i miłowanym, zanim sam zacznie siebie miłować. „W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował” (1 J 4, 10). Miłość pochodzi od Boga.

Miłować siebie znaczy przyjąć siebie już umiłowanego. Taka sama miłość należy się innym ludziom, bo wszyscy są tak samo już umiłowani. Dlatego tolerancja w stosunku do człowieka jest kłamstwem uderzającym w samego Boga, ponieważ zaprzecza jego Miłości. To obraza powiedzieć komuś: toleruję cię. Niemądry to gospodarz, który toleruje płot chroniący jego gospodarstwo, ale równie niemądry jest ten, który toleruje dziury w tym płocie.

Miłość jest darem. Dar można przyjąć lub odrzucić. „Bóg tak umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął” (J 3, 16). „Gdybyś znała dar Boży i /wiedziała/, kim jest Ten, kto ci mówi: «Daj Mi się napić» – prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej”. W odpowiedzi Samarytanka rzekła do Niego: „Daj mi tej wody!” (J 4, 10–15). Postawa Chrystusa wobec Samarytanki nie ma nic wspólnego ani z tolerancją, ani z nietolerancją. Kiedy Jego Miłość odsłoniła Samarytance prawdę osobowej tożsamości stojącej przed nią jako zadanie, Samarytanka sama dostrzegła, jak daleko odeszła od siebie. „Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj!” Zobaczysz, jak miłujesz siebie, a zatem i innych. „A kobieta odrzekła Mu na to: «Nie mam męża». Rzekł do niej Jezus: «Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą»” (J 4, 16–18). Chrystus wiedział, że w Samarytance nie było pracy nad miłością, ale wiedział także, że było w niej ogromne pragnienie bycia miłowaną oraz pragnienie obdarzania innych całym swoim jestestwem, jestestwem miłowanym.

Można i trzeba mówić o tym, czego nie ma, a co powinno być, ale trzeba o tym mówić tak, jak mówił Chrystus, czyli w perspektywie Miłości, która nie przestaje ogarniać człowieka. Kto mówi o „dziurach” w człowieku z pozycji tego czy innego systemu myśli i władzy, niszczy w człowieku to, co jest i co zawsze będzie w nim godne poznania i miłości. Tylko gospodarz miłujący płot umie patrzeć sprawiedliwie na niszczące płot dziury i nie użyje ich przeciwko niemu. Zrobi wszystko, żeby je załatać.

Powiedzenie św. Augustyna: *Dilige et quod vis fac!*, każdy człowiek pióra mógłby ukonkretnić je dla siebie, zmieniając w nim tylko jedno słowo: *Dilige et quod vis scribe!* Wpierw jednak powinien zapytać siebie, czy wie, co znaczy kochać – *diligere*. Jeżeli nie wie, byłoby lepiej dla niego i dla innych, żeby zrezygnował z pisania, bo jego słowa będą poniżać człowieka.

Bycie dziennikarzem chrześcijaninem może wydawać się łatwe tylko komuś, kto nie zdecydował się być naprawdę ani dziennikarzem, ani chrześcijaninem. Co znaczy być dziennikarzem-chrześcijaninem?

Kiedy Chrystus wybierał się w drogę do Jerozolimy, „zbliżył się” do Niego jakiś młodzieniec (por. Mk 10, 17–22; Mt 19, 16–22) i upadłszy przed Nim na kolana zapytał: „Nauczycielu, co dobrego mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” Pytanie młodzieńca nie przekraczało etycznych granic, w jakich zamknął on swoje życie. Chrystus dał mu odpowiedź pozornie czysto etyczną: Nie zabijaj! Nie kłam! Nie kradnij! Czcij ojca i matkę! Wówczas młodzieniec powiedział Mu:

„Wszystkiego tego przestrzegałem od mojej młodości”. Wyznanie młodzieńca odsłoniło głębsze, ponad etyczne pokłady w jego pragnieniu życia wiecznego. Odsłoniło ono, że młodzieniec pragnął czegoś więcej niż tylko życia etycznie poprawnego. Wtedy Chrystus spojrział nań z miłością i rzekł mu: „Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim. [...] Potem przyjdź i chodź za Mną”. Na te słowa młodzieniec „spochmurniał [...] i odszedł zasmucony”, miał bowiem wiele dóbr i nie był w stanie się ich pozbyć.

Znamienne, że po tej przypowieści ewangelisci umieszczają przestrożę Chrystusa przed niebezpieczeństwem ugrzęźnięcia w posiadanych dobrach. Człowiek w nich grzęźnie, kiedy nie odpowiada na *sequere me*, z jakim zwraca się do niego druga osoba, i kiedy nie idzie za nią. Kiedy idzie się za drugą osobą, pozostawia się za sobą wszystko, w jakimś sensie pozostawia się nawet etykę i jej przykazania, co nie znaczy, że się je neguje. One emanują z miłości.

Dobra, jakimi zazwyczaj dysponuje dziennikarz, np. inteligencja, wiedza, umiejętność pisania i mówienia czy skuteczność środków masowego przekazu, kuszą, żeby iść za nimi, a nie za drugą osobą. Idąc za nimi, może się i zdobyć rozgłos, ale opuszcza się człowieka. Wtedy dochodzi do największej tragedii, jaka może się zdarzyć na tym świecie, a jest nią nie miłowanie Miłości. Dziennikarzowi zatrzymanemu przez swoje majątności nie pomoże nawet uzgadnianie artykułów i audycji z etycznymi przykazaniami, formułowanymi przez takie czy inne komisje. Etycznie poprawny profesjonalizm w informowaniu o zdarzeniach, jeśli nie zostawia miejsca dla ponadetycznej prawdy ocalającej człowieka, kończy się smutkiem bogatego młodzieńca. Owoce pracy tak „spochmurniałego i zasmuconego” dziennikarza chrześcijanina będą zatrute bardziej niż owoce innych dziennikarzy.

